

# Wojciech Stanisławski: Gorzkie żonkile

Czy z cywilnymi, „niewinnymi” (w znaczeniu – nie zadającymi innym przemocy) ofiarami, względnie z powstańcami walczącymi w formule „doraźnego oporu” łatwiej, bardziej naturalnie jest się utożsamiać niż z tymi, którzy (niezależnie od niewielkich szans powodzenia) stawiają sobie konkretny cel polityczny (obrona suwerenności, restytucja państwa) i militarny? A jeśli tak, jak przekładać się to będzie na naszą solidarność już nie ze zmarłymi 80 czy 78 lat temu, lecz – jeszcze żywymi? – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

W szufladzie mojego biurka leży jeszcze ten ubiegłoroczny, potargany i naddarty. Jest i tegoroczny, który dostałem fuksem w jednym z Instytutów Polskich za granicą, gdzie zorganizowano wieczór pamięci powstania w getcie z kilkudniowym wyprzedzeniem. Sprawdzę, który lepiej trzyma się koszuli i oczywiście przyczepię go, jak co roku. Tyle, że z lekką goryczą, jakbym niechcący posmakował jego soku, nie z papierowych, lecz z prawdziwych płatków.

Bo pamiętam, jak niesamowita była formuła „Warszawy dwóch powstań”, ukuta przed dziesięciu laty, w 2013. Spotkać dwa zrywy, które dzieli półtora roku, uczynić z nich klucz do zrozumienia Warszawy, w szerszym sensie – do zrozumienia inkluzywnej Rzeczypospolitej, to było coś.

Oczywiście, od początku było to wyzwanie. Oczywiście, mimo podobieństwa na elementarnym poziomie wroga-Niemca, różnice między dwoma powstaniami były gigantyczne. Nie tylko „materialne”, w jakiś sposób dające się zmierzyć i opisać (liczebność walczących, skala walk i użyte środki, sytuacja taktyczna i szersza, „strategiczna”). Również ich sytuacja polityczna i cele (doraźne i dalsze) stawiane sobie przez powstańców. Również kontekst, i znany im, i tylko przeczuwany: w jednym przypadku Zagłady, w drugim – przegranej kraju, któremu odbierano suwerenność.

A mimo to wspólne było, przynajmniej dla części walczących, doświadczenie nie tylko wroga, widocznego przez chwilę na styku muszki i szczerbinki („choć wszystko nas dzieliło / łączył nienawistny Fryc”), nie tylko lepkiej sadzy z miotaczy ognia i pyłu z kruszonych kamienic, ale i beznadziei. „I żaden grecki antyczny bohater / Do bitwy nie szedł tak zbyty nadziei, / Z wyobrażeniem swojej białej czaszki / Kopniętej butem obcego przechodnia” – ten wers Miłosza (który napisał przecież o wojnie nieco więcej niż tak chętnie recytowane „Campo di Fiori”) mógłby przecież traktować o żołnierzach obu tych zrywów. Dla części z nich (tak, pewnie nie dla wszystkich) wspólną mogła być również identyfikacja z krajem. Nikt przecież nie postawił dotąd tezy, że dwie flagi, które zawisły na Muranowskiej 6, były tylko decorum czy politycznym gestem.

Mam wrażenie – własne, nie poparte żadnymi badaniami postaw, które bym znał – że te pamięci rozeszły się jak listki kartonowego żonkila zbyt długo trzymane w szufladzie.

Sporo siedząc na Facebooku, sam stronię od „nakładek” na zdjęcie profilowe, ale wiele osób tam czynnych lubi w ten sposób podkreślić swoje stanowisko w ważnych dla nich sprawach. Komu żółto-niebieska flaga, komu biało-czerwona, komu kotwica, komu piorunek; rekordziści mają takich nakładek po kilka naraz, niczym triumfatorzy na turniejach, co nanizali pół tuzina pierścieni na włócznię. Czasem można dzięki temu na pierwszy rzut oka przekonać się o zaangażowaniu konkretnego entuzjasty. Jutro wiele z tych profili się zażółci, po żonkilową nakładkę sięgną autorzy opowiadań i marchandzi, krytyczki literackie, felietonistki i wydawczynie. A za trzy i pół miesiąca, kiedy na Facebooku będzie z kolei gęsto od kotwic, postrzępionych biało-czerwonych i galeonów barykad, całego tego podniosłego, miejscami nawet osuwającego się w kicz imaginarium – na ich profilach będzie pusto. Wiem to, bo przeklikuję je co roku na początku sierpnia, dosyć nawet desperacko przeklikuję, jakbym żądał amunicji.

Czy te pamięci – właściwie nie tyle pamięci, co bliskości – zawsze były słabo zszyte? W ogóle nie przystawały do siebie? Czy dodatkowo się rozeszły?

*To nie o „ekskluzywizm”  
rodowodowy chodzi, lecz o  
wybór i odrzucenie*

Jestem opornym  
rozmówcą w tej  
kwestii, nie  
przekonuje mnie  
wiele z obiegowych  
argumentów. Bzdurą

jest dla mnie na przykład argument „rodowodowy”: w mieście o biografiiach tak niesamowicie splątanych, jak Warszawa, naprawdę, niewiele można by znaleźć osób, które doświadczenie rodzinne, przyjacielskie i środowiskowe wiązałyby tylko z powstaniem roku 1943 – i wcale nie tak wiele tych, których te same doświadczenia (i wyrastające z nich tożsamości) ograniczałyby tylko do powstania roku 1944. Nie każdemu „Najświeższe drzewa rodu mojego gałązki / spłonęły za murami w getcie i w Powstaniu” – ale jeśli ten „ród” i „gałązki” Kaczmarek rozszerzyć na sąsiadów, przyjaciół, miłości w trzech powojennych pokoleniach, okazałoby się, że większość warszawiaków znalazłaby liście za jednym i drugim murem. Więc to nie o „ekskluzywizm” rodowodowy chodzi, lecz o wybór i odrzucenie.

Tak, rutynową niemal frazą jest przy podobnych rozmowach ta o „zawłaszczeniu Powstania przez narrację narodową” (polemiści szczególnie prostolinijni napiszą „narrację nacjonalistyczną”). Albo argument o niechęci do rac i dymów. I te argumenty mnie śmieszą.

Kibolskich rad i dymów nie znoszę żarliwie i obchodzę je szerokim łukiem. Kicz dokleja się do większości ważnych ludzkich przedsięwzięć, polecam poczytać Kunderę, jest kicz polski i kicz polinezyjski, kicz religijny i kicz ateistyczny; odstępować od jakiejś wspólnoty dlatego, że towarzyszą jej kiczowate wstążki, wydaje się dowodem zewnętrznym godnej trzynastolatka, którego speszyły śmiechy kolegów. A rydwan narracji prorządowej? Zapewne większość polityków z lubością grzeje się w ciepłe zniczów i sugeruje znacznie bliższą, niż mieli by do tego podstawę, więź duchową między sobą a czczonymi przez siebie zmarłymi. Znów jednak: dlaczego miałyby nas to szczególnie obchodzić? Tym bardziej, że w upolitycznionym świecie pewnie nie da się osiągnąć w sferze publicznej całkowitej przezroczystości i apolityczności. Również dobór ambasadorów akcji

Żonkile jest co roku gestem dyskretnym, powściągliwym, ale wyraźnym, dalekim od politycznej ostentacji, lecz bogatym w znaczenia.

Mniej mnie jednak obchodzą prztyczki polityczne i dobór zapraszanych do ambasadorowania przez Muzeum Polin, zastanawiam się nad czymś innym. Z kim łatwiej jest poczuć więź (taką, która domaga się przyklejenia odznaki, sięgnięcia po nakładkę profilową, wzięcia udziału w uroczystościach) osobom, doświadczającym różnych „narracji wspólnotowych” w trzeciej dekadzie XXI wieku? (Podkreślam przy tym, że nie chodzi mi o ściśle rodzinne, „gorące” związki z bohaterami jednego lub drugiego zrywu, bo te determinują jednoznacznie). Czy nie jest tak, że z cywilnymi, „niewinnymi” (w znaczeniu – nie zadającymi innym przemocy) ofiarami, względnie z powstańcami walczącymi w formule „doraźnego oporu” bardziej naturalnie jest się utożsamiać niż z tymi, którzy (niezależnie od niewielkich szans powodzenia) stawiają sobie konkretny cel polityczny (obrona suwerenności, restytucja państwa) i militarny? A jeśli tak, jak przekładać się to będzie na naszą solidarność już nie ze zmarłymi 80 czy 78 lat temu, lecz – jeszcze żywymi?

*Wojciech Stanisławski*